

„RYSZARD III”
Wiliama Szekspira
w Teatrze „Wybremez”

W Anglii podobno istnieje nawet stowarzyszenie, które postawiło sobie za cel rehabilitację Ryszarda III. Szekspir natomiast zgodny był z historykami jego czasów, którzy od czci i wiary odsądzi króla — najbardziej zbrodniczego w dziejach Anglii, diabelskiego demona, wcielenie zła, mordercę, zdrajcę, wiarołomcę, kłamcę, krzy woprzysiężce.

Ale Szekspir — choć współcześni mu nazywali go „złodziejaskiem cudzych pomysłów i wątków” — wyposażył Ryszarda III w cechy człowieka, który nie tylko zło nosi w sobie, lecz delektuje się z nim, a jest przy tym tragicznym... błaznem, ba wianym się swymi zbrodniami.

NIE o to jednak chodzi. Genialny stradfordczyk napisał w udratyzowanej formie jakby studium o tyranii, jakby traktat przeciw moralności w ogóle, a w polityce przede wszystkim. Studium i traktat — dodajmy — ponadczasowy.

Literatury na ten temat mamy co nie miara. Kto by chciał bliżej zapoznać się z tematem winien przede wszystkim przeczytać prace Jana Kotta i znacznie starsze, lecz również gruntowne studia wielkiego polskiego anglisty i szekspirologa Romana Dybolskiego.

PONADczasowość ideologiczną — jeśli tak można ją określić — sprawiła, że „Ryszard III” wciąż na nowo jest odczytywany i coraz to inaczej prezentowany

publiczności. Głośny film z Lawrenceem Olivierem, bardzo kolorowy, niemal słoneczny, pozostawił nam w pamięci postać Ryszarda — garbusa i karia — jakby przeistaczającego się w miarę biegu akcji z abnegata i clowna w coraz to dostojniejszego, także i wewnętrznie wodza i monarchę, tego króla, którego końcowy w życiu okrzyk „Królestwo za konia” zabrzmiał aż tak bardzo dramatycznie, że stał się przysłowiem. Przez cały czas Olivier był jednak głęboko tragiczny i tylko tragiczny.

Albo znów Jacek Woszczerowicz w warszawskim „Ateneum”. Zbudował rolę Ryszarda, stosując wszystkie środki aktora komicznego. Jego Ryszard przestawał być błaznem, stawał się tragicznym potworem, opętanym strachem dopiero w ostatnich akcie.

Zupełnie inaczej zagrał Ryszarda III Krzysztof Wieczorek. Nie stworzył postaci jakiegos cieleśnego monstrum; nie jest ani garbusiem, ani kuternogą, wręcz przeciwnie — raczej jego uduchowiona twarz, jasna i blondwłosa, z niebieskimi oczami — silnie kontrastuje z wewnętrzną brzydota, zbrodnictwem przemyślaną na zimno i z całą stanowczością realizowaną. Nie w nim też nie ma z błazna, a jeśli któraś ze scen wymaga, aby ją potraktować komicznie, to Wieczorek osiąga potrzebny efekt albo samą sytuacją, albo sensem słowa. Przez cały czas jest jednak sugestywnie zły, de-

monicznie zbrodniczy, opętany przy tym jedną żądzą: zdobycia władzy królewskiej i utrzymania jej za wszelką cenę — poprzez szalbierstwo, mord, wojnę, wreszcie łóżko. I w tę jego żądzą widz wierzy. W tym widzę zwycięstwo aktora.

ZACZYNA się sztuka deklamacją Ryszarda o pokój. Ten, który go zwyciężył, kończy ją taką samą deklaracją, tyle że — jak wiemy — właśnie panowanie Henryka VII zakończyło stuletnią „wojnę dwóch róz”. To taka pokojowa

no najwybitniejszymi nie aktorami naszego teatru. Mówi to o powadze, z jaką reżyser Tadeusz Minc potraktował przedstawienie. Podporządkował też wszystkim koncepcji nierozjaśnienia tragedii. Czy słusznie? Widzowie wychodzili z teatru pod wielkim wrażeniem. Jednolitość widowiska nie rozpraszała uwagi, raczej pozwoliła na skonsolidowany odbiór myśli autora, których słuchano chwilami z zapartym oddechem.

Scenografia — wspólne dzieło Jadwigi Pożakowskiej



Krzysztof Wieczorek (Ryszard III) i Bogusława Czosnowska (królowa Elżbieta). Fot. W. Link

klamra, która spięto krwawą historię z wylądowaniem hrabiego Richmonda i bitwą na polach Bosworth — jak sam Szekspir określił w podtytułe tę swoją królewską tragedię.

Na scenie aż rośnie od postaci. Jest ich ponad 50! Nawet małe rótki obsadzo-

sugestywny, zdecydowanie też tworzy nastroj beznadziejności i grozy strasznych przeciw czasów.

W podobnym nastroju utrzymali swe role aktorzy tworząc wyraziste tło dla tytułowej postaci.

Kilka jednak ról Szekspira wyposażył w większe możliwości, niż resztę z plejady lordów i sirów, żołnierzy, gońców i posłańców. Książę Buckingham w interpretacji Andrzeja Szatańskiego i lord Hastings Stanisława Igara to właśnie takie zroznicowane osobowości, każda inna, każda będąca ważnym epizodem w długim szeregu działań królewskiego zbrodniarza.

Obaj mordercy księcia Clarence'a (Tadeusz Rosinski również wnieśli jakieś bardziej indywidualne tony do cynicznych dialogów, które wiodły w kierunku Tower przed popełnieniem zbrodni (Lech Grzmocinski i Henryk Abbe).

Ale dopiero postacie kobiece a jest tych królowych aż czterech, pozwalają widzom rozsmakowywać się w wirtuozerii artystycznej grających je aktorek. Każda ma przynajmniej jedną wielką scenę z „Ryszarda”. Najpierw lady Anne (Halina Wiatarska), synowa zamordowanego króla Henryka VI i wdowa po księciu Walii Edwardzie, której przy marach zamordowanego męża Ryszard proponuje „łóżko i maizentward”, później przeklinająca mordercę starszą królową Małgorzatę (Izabella Wilczyńska), która sama na czele wojsk męża, gdy znalazł się w niewoli, zwyciężyła wrogów; dalej jeszcze również go nienawidząca księżna Yorku (Wanda Stanisławska-Lothe) wreszcie królowa Elżbieta (Bogusława Czosnowska), matka królewskich dzieci, zaduszonych z rozkazu ich wuja, bo stali mu na drodze do tronu. W czasie długiej rozmowy z Ryszardem ich szermierka słowna jest jakby kwintesencją działań i uczuć, które miotają osobami tragedii. Gdy Ryszard rozszalał kobiecie rzucił propozycję poślubienia jej córki, co znów ją wyniesie na stanowisko matki królewskiej, zdumienie miesza aktorka z nienawiścią, wahanie z uległością. A po jej wyjściu Ryszard wygłasza jeszcze jedną z sentencji o głupocie zaślepionych kobiet... pewno równie prawdziwa przed czterema i pięcioma wiekami, jak dzisiaj.

Marek DULĘBA